

POLICZEK.

NOVELA.

W przedziale wagonu oprócz mnie jechał jakiś mężczyzna niemłody, lecz czerstwy, o twarzy ogorzałej, pełnej energii i wyrazu w oczach. Miał ten specjalnie polski typ twarzy, stanowiący dziwną mieszaninę krogulca i gołębia: coś jastrzębiego w suchym, zagiętym nosie i krzaczastych brwiach, pewną drapieżność, nielicującą zgoła z wesołością, uśmiechniętymi ustami nad okrągłym, dobronudszym podbródkiem.

Towarzysz mój drzemał, czytał dzienniki, wreszcie zagadnąwszy mnie o coś, począł opowiadać niedawne dzieje, wrażenia, opowiadać żywo, jędrnie, podkreślając słowa żywą gestykulacją. Był obywatelem ziemskim. Majątek jego położony był w połaci kraju, przez którą przeszła nawała austrijacka. Wszystkie narody dwujednej monarchji przewinęły się przez cichy zawsze jego dwór. Słowacy, czesi, mądzarzy korzystali z jego przymusowej gościnności, zabierając ze sobą upominki w postaci inwentarza, ziarna, sprzętów, naczyń kuchennych nawet.

Przez trzy doby dokoła samego dworu wrzała bitwa artyleryjska. Austriacy zatoczyli trzydzieści sześć armat, ustawili je bądź w parku, bądź między zabudowaniami folwarcznymi i bili z nich bezustanku aż do chwili, gdy zaprzęśli konie do lawet, zjechali pośpiesznie z pozycji, by nie powrócić więcej.

— Zapewne spustoszone panu dwór i budynki?— zapytałem.

— Gdzie zaś! Wyobraź pan sobie, że wieś spalono doszczętnie, wszystkie stogi również, we dworze zaś nie wybili mi ani jednej szyby.

— Dziwne zrządzenie losu.

— A tak, fatalizm jakiś. Już to wojna, panie, jest najlepszą szkołą zabobonu, wiary w przeznaczenie. Albo w opatrność i opiekę Boską, co pan woli. Nie dość, że dwór ocalał, lecz wyobraź pan sobie, nikt mi nie zginął ze służby, ani z tych biedaków, którzy uciekli z płonącej wsi i ukryli się u mnie w piwnicy we dworze. A kanonjerzy, powiadam panu, padali jak muchy; konie rozrywało na drobne kawałki w moich oczach.

— To pan widział działanie pocisków?

— Jakże miałem nie widzieć, mój drogi panie? Z początku siedziałem ze dwie godziny w piwnicy, ale potem znudziło mi się, no i ciekawość mnie wzięła zobaczyć, jak też to wszystko wygląda. Owinałem sobie głowę ręcznikiem na uszy, żeby choć trochę mniej słyszeć ten przekłety łoskot, kazałem sobie wynieść stół pod lipę do ogrodu i tam siedziałem. Później chodziłem po podwórzu, zaglądałem do stodół. Przyzwyczaiłem się zupełnie. Zresztą niepodobna było nie zajrzeć tu i ówdzie.

Ludzie dorośli, parobcy, szczególnie baby—nosa z piwnicy nie wysunęli, zato dzieci nic sobie z niczego nie robiły. Powyłażyło to mizernactwo na dwór i dalej się bawić po swojemu. Co który szrapnel nadlatuje, to gwiżdże jak olbrzymi komar: fiuuu. A dzieciaki głowy zadzierają do góry i nuże tak samo gwizdać. Żal mi było patrzeć na tych biedaków! Głodne, płaczą, czepiają się spódnic matczynych, wołają chleba. A chleba, albo mleka w całym dworze ani na lekarstwo. Wszystko mi wojsko zdążyło zjeść i wypić. Serce mi się krajało, że im nic dać nie mogę.

Poszedłem szukać, czy czego nie znajdę. Po długich poszukiwaniach znalazłem gdzieś w szafie dużą kromkę chleba i trochę cukru. Wziąłem nóż i idę między dzieciaki. I, wie pan, że o mało nie zginałem i to nie od pocisków, co dokoła mnie padały, ale właśnie przez ten chleb, com go dzieciom dawał.

— Jakto?— zdziwiłem się.

— Czekaj pan. Otóż kraję właśnie ową kromkę na cienkie pajdki i wtykam każdemu dzieciakowi z kawałkiem cukru w rękę. Siedział też nieopodal mały chłopaczyna chudy, chuderlawy i taki wygłodzony, że mu przez zapadłe i przezroczyście, jakby szklane, oczy pusty żołądek było widać. Oczu z chleba nie spuszcza, oblizuje się, płacze z niecierpliwości i obawy, czy aby starczy dla niego. Podchodzę, daję mu większą kromkę, aż tu widzę, jak mi się z pod ramienia wysuwa jakaś wielka łapa i wydiera chleb z suchych palczyn chłopaka. Coś mną targnęło, coś zasłoniło mi oczy. Odwracam się—i buch w pysk! Wie pan kogom tak uczył?

— No?

— Jakiegoś kaprała austriackiego. Jakem to spostrzegł, myślę sobie: źle. Albo mnie sprzątnie od ręki, bez gadania, albo krygsgerycht i powieszają, jak amen w pacierzu.

— No i cóż się stało?— zapytałem.

— Ano żyję, jak mnie pan widzi.

— Fatalizm?

— Być może. Ale posłuchaj pan. Odskokczył parę kroków, jakby koło niego piorun trzasł—i za szablę. A patrzył na mnie tak, że pomimo woli jakoś nie miło mi się zrobiło i myślę: ostatnia moja godzina, ha, trudno. Aż tu mój kaprał patrzy, ale zgoła już inaczej. Spojrzał na mnie, na dzieciarnię i mignęło mu coś w oczach, poprzysiągłbym, że łzy. Powiedział do mnie kilka słów po czesku, podniósł chleb, który był upadł na ziemię, podał dziecku i, nie odwracając się, poszedł. Fatalizm, powiada pan. Chyba nie. Coś tam jest w ludziach, jakaś sprawiedliwość wyższa nad wszelkie prawa wojny, prawa chwilowego zwycięzcy. W człowieku sumienie śpi, ale czasem się ocknie. Może był ojcem?

Pociąg zatrzymał się na stacji i mój towarzysz wysiadł.

J. G.